

## IMITATOR PTAKÓW

TELEWIZJA  
i „Zycie”

Doprawdy, nie tylko nie należy zazdrościć organizatorom programu rozrywkowego w TV, ale myślę, że trzeba im nawet współczuć. To ostatnia sobota usposobiła mnie do tego rzadkiego uczucia, kiedy z Katowic dawano, jak to Katowice często lubią, rewiew gwiazd i gwiazdek estrady i kiedy to raz jeden tylko publiczność wpadła w entuzjazm, gdy na scenie produkował się dobrze odżywny, o ondulowanej czuprynie, parodysta naśladowujący pociąg i doróżkę konną. Jego partnerami w kilkudziesięciominutowej składance byli m. in.: Krafftówna, Bielicka, Wysocka, Dymsha, Krukowski i jeszcze dobra dwudziestka aktorów i aktorek. I buduj tu programy!

Oczywiście, nie trzeba nawet zarzucać specjalnych sond ankietowych, by mieć obraz gustów i upodobań masowej publiczności — wszyscy zdajemy sobie świetnie sprawę z tego, że „Baron cygański” na łeb pobije arcydzieła muzyki klasycznej. No, ale w tym wypadku zachodzi przynajmniej rozróżnienie między jedną a drugą wartością, wartością różnego stempla, ale zawsze. W rozrachunkach programowych rzecz najbardziej oczywista. „Baron” musi być uwzględniany i dobrze, że tak się dzieje. Cóż jednak robić z tym cholernym blondynem, co pieje lepiej od najpiękniej ugrzebienionego koguta spod Keyni, która słyńce z jurnych kurów? Przecież, gdyby jury wspomnianej rewii punktowało program według reakcji publiczności, parodysta wygrałby konkurs z wielką przewagą do Dymshy, Malickiej, Krukowskiego i Krafftówny.

Sprawa, chciałbym niemal powiedzieć, jest społeczna. W tym jednak wypadku postępowałbym niespołecznie. Parodysty nie puściłbym na estradę, a myślę, że w konsekwencji tej decyzji nie doszłoby do rewolucji. Napór płaskich czy drobno-mieszczkańskich gustów, jak wiemy, szalenie rozpowszechnionych, a kto wie czy nie dominujących, nie jest jakąś instancją, z którą należy się liczyć. Rozumiem, że życie przez to nie stanie się lżejsze w działaniu programowania rozrywki polskiej telewizji; no, ale na szczęście nie ma ona konkurencyjnej stacji dla ćwierćinteligentów, przeto może sobie pozwolić na surowsze rygory i na brak umizgów. Mniemam, że jestem dobrze rozumiany, iż nie idzie mi tylko o tego parodystę, dla pewności jednak podkreślam, że ten pan podsunął mi się po prostu dla zezemolifikowania nieco szerszej refleksji. I dodam, że nawet nie jestem tak zbławozany, jak pewien dyrektor cyrku — by już pozostać przy bliskich porównaniach — do którego zgłosił się znakomity prestidigitator oferując swe umiejętności.

— Co pan umie? — zapytał dyrektor.

— Bardzo wiele, a także latać w powietrzu.

— Niech pan pokaże.

Gość wzbił się w powietrze, na co zdegustowany dyrektor mruknął do swej małżonki:

— E tam, imitator ptaków.

A z Katowic dostaliśmy jeszcze w ubiegłym tygodniu sceniczną przeróbkę prozą Gustawa Morcinka: „Powrót Kurka Krausa”. Przystosowała rzecz dla telewizji Lidia Zamkowska. Temat bardzo na czasie, gdyż dotykał historii powstań śląskich, czterdziestą piątą zaś rocznicę trzęsawicy zrywu powstańczego właśnie w tych dniach obchodziliśmy. Widowisko zbudowane zostało epicko i jak ten gatunek pozwala — w historyczną panoramę wydarzeń wpleciono osobiste wątki bohaterów. Kronika historii więc sąsiadowała z losami śląskiej rodziny, obrazki że tak powiem, rodzinnego realizmu z patetycznymi chórami podającymi rewolucyjną poezję, liryczne zamyślenia z zaśpiewami „matki Courage”, która zresztą w charakterystyce przypominała mi symboliczną postać z Grottgera. Właściwie rzecz cała była szalenie interesująca w zamyśle i prawie, prawie że spełniona na scenie. Do szczęścia jednak zabrakło i materii dramaturgicznej, i wyrównanego poziomu aktorskiego i — tak to odczułem — jakiegoś większego porządku w całej robocie. Właściwie cały czas mdlałem na serce czy zaraz coś się na scenie nie rozsypie. A że historia trwała aż nadto długo, mdlałem przeto podwójnie. Być może, że to uczucie strachu zbudowała we mnie wyjątkowo irytująca praca zespołu technicznego TV — kamerzystów, operatora światła i dźwięku (kwesnie Zamkowska rwała się co chwila, jakby ktoś zabierał jej od ust mikrofony), ale nie wykluczam, iż i w artystycznym kształcie przedstawienia było także coś dokuczliwie prowizorycznego. Odnotujmy jednak ten spektakl telewizyjnego teatru jako interesującą próbę teatru politycznego organizowanego przez reżysera — tak to odczytałem — środkami wyniesionymi z doświadczeń klasycznej sceny, filmu i estrady.

A z innych pasjonujących przedstawień teatralnych mieliśmy dwa mecze piłkarskie. Pierwszy między państwami Polska — Węgry, drugi pucharowy między drużynami: niemiecką i angielską. Cóż to były za widowiska! Szczególnie to niemiecko-angielskie. Przy tej okazji pragnąłbym odnotować z uznaniem komentarz Jerzego Ciszewskiego, do którego po prostu czuje się zaufanie jak to zawsze, gdy mamy do czynienia z ludźmi znającymi swój fach.

Mam poza tym jeszcze zaufanie do Ireny Dziedzic. Spotkałem się gdzieś, a niedawno, z supozycją czy też nie przeżyło nam się to „Tele-Echo”. Broń panie Boże. Takie programy przeżyć się nie mogą, o ich trwałości bowiem decydują bohaterowie występujący na ekranie. Ci zaś są stale nowi i stale ciekawi. „Tele-Echo” może być i bywa często okazją do zorientowania nas w tym, coż za przebogaty rezerwat typów i indywidualności ludzkich kryje się w Polsce. Przyznam, że te konfrontacje napawają mnie otuchą, lepszym usposobieniem i uwalniają od wielu kompleksów niższości przypisywanych mi na siłę tylko dlatego, że się urodziłem na wschód od Paryża. „Tele-Echo” jest wedle mnie dziennikarskim zwiadem, a wiemy jakie znaczenie ma dla większych operacji praca takiego zwiadu. Reszcie niech robią sztaby i armie telewizyjne. My byśmy prosili tylko Irenę Dziedzic o częstsze przekraczanie rogatek warszawskich i środowisk artystycznych.

RYSZARD KOSIŃSKI